

# PRZEDSTAWIENIE

Tego pięknego, słonecznego poranka straciłem wszystko. Proszę mi wierzyć, panie doktorze, dzień był naprawdę rajski, na niebie ani jednej chmurki, ciepło, przyjemnie. Siedziałem przy okrągłym plastikowym stoliku na tarasie naszego mieszkania, wpatrując się w ekran laptopa. Piłem już trzeci kubek kawy i po raz nie wiem który czytałem ten pożegnalny list. Raz po raz przenosiłem wzrok na jakiś punkt w oddali, to ten, to inny. Widok z tarasu był precudny, Boski, wspaniały. Długo szukaliśmy tego mieszkania, aby uwić w nim sobie gniazdko dla naszej trójki. Od brzegu zatoki oddzielała nas tylko nieruchliwa uliczka, spokojna, cicha, jakby zapomniana przez mieszkańców tego wielkiego miasta. Wokół było dużo zieleni, bardzo dużo zieleni: rozległy trawnik, koszony przez ogrodnika raz w tygodniu, palmy pandanusowe, niewysokie, lecz rozłożyste, na których gałęziach przysiadły papugi. Najbardziej lubiłem patrzeć na te małe, zielone, z czerwono-żółtymi łebkami. Zawsze przylatywały w parach, nierozłączne. Ale te duże, białe, z żółtymi grzebykami na główkach, także były pocieszne. Rzucałem im na trawę skórki chleba. Podchodziły, dziobały, nie bały się mnie wcale. Oddzielała nas od siebie barierka tarasu, a tuż za nią rząd młodych, gęstych, krzewiastych drzewek hibiskusa, wysokich do piersi człowieka. Czasem przylatywały ogromne białe pelikany, całym stadem, pięć, sześć i więcej. Lądowały z furkotem swych szerokich, długich skrzydeł. Wśród papug wywoływały popłoch – te odfruwały, ale tylko na parę chwil, zaraz wracały i tak całe to ptactwo, duże i małe, żyło sobie w symbiozie na naszym trawniku. Nie lubiłem tylko ibisów – to śmieciarze, grzebią w koszach z odpadkami, mają takie długie, wąskie zakrzywione dzioby, którymi potrafią rozerwać torbę foliową i narobić wszędzie bałaganu. Nikt ich w mieście nie lubi, choć to bardzo sprytne stworzenia.

Wzdłuż brzegu ciągnęła się promenada. Od wczesnego rana do późnego wieczora spacerowali po niej ludzie, ale nie tłumnie, co parę minut jakaś para, starzy i młodzi, przytuleni, trzymający się za ręce, młode mamy z wózkami, czasem samotny tato ze swą pociechą, jakiś dziadek z wnuczkiem na rowerku. Niektórzy biegali dla zdrowia i kondycji. Podziwiałem ich za ten upór, zwłaszcza te otyłe kobiety, które pocąc się w słońcu próbowały stracić choć parę kilogramów wagi. Ale najbardziej podziwiałem tych staruszków na rowerach, wrotkach. Białe głowy, pomarszczona skóra, zwiotczałe mięśnie – ale jak silna była w nich wola pokonania starości, nieubłaganego końca wszystkiego. Codziennie to byli ci sami ludzie, rozpoznawałem ich twarze, a oni moją. Niektórzy machali ręką na powitanie, pozdrowienie, uśmiechali się szeroko i szczerze. To na ogół bardzo miły i sympatyczny naród. Odpowiadałem tym samym.

Dlaczego więc napisałem ten list? Paulina krzątała się w kuchni, przyrządzała śniadanie dla nas trojga: kukurydziane chrupki z mlekiem i owocami dla siebie i Małego, a dla mnie dwa jajka na boczku, dwie kielbaski z piekarnika, połówkę smażonego pomidora, chleb z otrębami. Widziałem ją przez szybę. Moja Paulinka, moja księżniczka, kochałem ją jak student, choć od dawna siwiała mi już skronie. Byliśmy razem od pięciu lat, Mały urodził się po roku. Na dobrą sprawę mogłem być jego dziadkiem, ale może właśnie dlatego

kochałem go tym bardziej, tym mocniej, nie jak ojciec, lecz jak dziadek i ojciec w jednej osobie. Całe moje szczęście, całe nasze szczęście. Cały mój świat – Paulinka i Mały.

Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy w sali porodowej usłyszałem jego płacz. Zaniósł się tym żalonym łkaniem – pierwszy oddech, pierwsze spojrzenie na otaczający go świat – a mnie popłynęły z oczu łzy radości. Obok stała pielęgniarka. Gratuluję synka, powiedziała, podając mi chusteczkę higieniczną. Uśmiechnąłem się zawstydzony łzami, bo przecież mężczyzna, zwłaszcza w moim wieku, nie powinien płakać jak beksa. A ja nie mogłem się powstrzymać, uspokoić. W końcu roześmiałem się gwałtownie, na cały głos, nie wiedząc czemu. Położyłem dłoń na drobnym ramieniu Paulinki i powiedziałem: Dziękuję. Uśmiechnęła się, miała zmęczoną, wyczerpaną twarz. Była druga w nocy, a poród zaczął się o siódmej rano poprzedniego dnia.

Lekarz położył Małego na jej piersiach. Był nagi, unurzany jeszcze we krwi i wodach płodowych, miał wilgotne włoski. Już nie płakał, patrzył ufnie w jej oczy, zaraz odszukał pierś i przyssał się swymi malutkimi usteczkami. Paulinka głaskała go dłonią po główce, była taka szczęśliwa. Powiedziała szeptem: Czekałam na tę chwilę całe życie. Kocham cię. Kocham was. Ja też, odpowiedziałem. Pochyliłem się nad nimi i wtuliłem się twarzą w ich ciepłe, kochane ciała. Znowu popłynęły mi z oczu łzy.

Widziałem przez szybę, jak Mały bawił się klockami na dywanie. Budował coś, skupiając całą swoją uwagę na czynnościach pracowitych rączek. Widać to było w jego czarnych ślepkach. Szkoda będzie go zostawić, szkoda mi Paulinki, ale dłużej już tego piekła nie wytrzymam, pomyślałem wtenczas, panie doktorze. W tym liście zawarłem całą moją rozpacz, pomieszaną ze zwierzęcą agresją. Zresztą czytał pan, oddałem go policji. Chciałem was wszystkich ukarać, abyście wreszcie poczuli się winni mojej krzywdy, mojego upokorzenia, mojego upodlenia. Tak jest! Upodliliście mnie! Odebraliście mi wszystko, co miałem, a miałem tak niewiele. To wasza wina! Dlaczego mi to zrobiliście? Dlaczego akurat mnie? Jestem dobrym człowiekiem, mam dobry charakter, jestem uczciwym obywatelem, płaciłem podatki, pracowałem, dbałem o rodzinę, zapewniłem jej dobrobyt na miarę moich możliwości. Nie piłem, nie paliłem, nie brałem narkotyków, jak inni! Nie kradłem! I co? Gównu! Dlaczego nie pozamykacie tych bandytów, co napadają na niewinnych ludzi w biały dzień? Albo tych, co upijają się do nieprzytomności, biją swoje kobiety, znęcają się nad dziećmi, tylko mnie akurat? Co wam, do kurwy nędzy, takiego zrobiłem?

Paulinka zawołała mnie na śniadanie. Ukryłem list tam, gdzie znajdują się pliki .exe. Nie chciałem jeszcze, aby go znalazła, przeczytała, rozplakała się może, zrozumiała nareszcie, jaką krzywdę mi wyrządziła. Przyjdzie na to czas, gdy będę gotowy. Ale wtedy będzie już za późno!

Zamknąłem wieko laptopa i wszedłem do mieszkania. Tatusiu, zobac, co zrobiłem, zakrzyknął Mały, trzymając w paluszkach jakiś pojazd, chyba kosmiczny, jak go znałem. Był zafascynowany kosmosem i dinozaurami. Ciągłe coś mu opowiadałem na te dwa tematy, musiałem się doksztalcać, czytając magazyny popularno-naukowe, bo wciąż i wciąż chciał wiedzieć więcej. Musiałem też uczyć się psychologii dziecięcej, bo jak inaczej wytłumaczyć czterolatкови zawiłości prehistorii czy astrofizyki? Paulinka mówiła z matczyną dumą, że Mały będzie kiedyś znanym naukowcem, profesorem uniwersytetu. Ja także miałem takie nieograniczone marzenia i nadzieje wobec niego, choć widziałem go

raczej w roli artysty, sławnego pisarza, malarza, może muzyka, w każdym razie kogoś wrażliwego na piękno.

Usiedliśmy do stołu, Mały na swym wysokim krześle, by mógł dosięgnąć blatu. W milczeniu oddaliśmy się spożywaniu posiłku. Wyglądaliśmy jak najszcześniejsza pod słońcem rodzina, tylko ja wiedziałem, że już niedługo, jeszcze dzisiaj, może zaraz po tym ostatnim wspólnym śniadaniu, już tak nie będzie. Jeszcze trzymam się jakoś, panuję nad sobą, ukrywam wszystko przed Paulinką, a zwłaszcza przed Małym, który jako jedyny z nich wszystkich jest całkowicie niewinny. Ale niech mnie tylko raz jeszcze sprowokują, doprowadzą do wściekłości, to im pokażę! Nie, nie do wściekłości! Do rozpacz! Niech mi tylko odbiorą ostatnią nadzieję!

Dobrze się dzisiaj czujesz, zapytała troskliwie, ciepło. Ogarnęła mnie złość, znów udawała tę swoją przymilną dobroć, jakąś fałszywą opiekuńczość. Przejrzałem ją już dawno! Zawsze się złościłem, gdy zadawała to głupie pytanie. Oczywiście, że dobrze się czuję, nic mi nie dolega, pomyślałem, a głośno powiedziałem, hamując gniew: Dlaczego znowu o to pytasz? Dobrze wiesz, że tego nie lubię. Ja tylko tak, bo martwię się o ciebie, dotknęła dłonią mojego policzka. Jesteś dzisiaj taki milczący. Nic nie odparłem, zatykając sobie usta kęsem kiełbaski.

Mały ubrudził się cały, z łyżeczki wylewało mu się mleko na stół, buzię, ubranko. Wstałem, aby przynieść z kuchni ściereczkę i zrobić z tym porządek. Zostaw, jedz, bo ci wystygnie, powiedziała, niech się uczy. Usiadłem, nabrałem na widelec smażone jajko z miękkim żółtkiem w środku, włożyłem je ostrożnie do ust, połknąłem. Mogę dostać kawałeczka, poprosił Mały. Nie mówi się „kawałeczka”, lecz „kawałeczek”, pouczyła go. Podąłem mu na widelcu. Pazy w języcek, skrzywił się, odsuwając buzię. Podmuchałem na jajko, odczekałem parę chwil i podałem mu ponownie. Połknął. Zawsze lubił wyjadać coś z mojego talerza, był zapatrzony we mnie jak w słońce. Pewnie przez te dinozaury i kosmos. Byłem w jego oczach taki mądry.

Oni pojawili się, panie doktorze, tego dnia tuż przed południem. Byłem nawet zdziwiony, że tak późno, bo zwykle przychodzili z samego rana. Czekałem na nich, byłem gotowy! W szafce na tarasie ukryłem w tajemnicy przed Pauliną pięciolitrowy kanister z benzyną. Miałem go tam od paru tygodni, ale wciąż nie mogłem się zdecydować. Nawet teraz nie miałem pewności, czy to już czas, choć były to najpewniej ostatnie chwile, myślałem, wciąż czytając od nowa ten list. Przyznam się, że na koniec obleciał mnie strach i być może nie zrobiłbym tego, gdyby choć na moment dali mi spokój. Ale nie! Nie dali. Najpierw pośród hibiskusów stanął ten podły mężczyzna. Widziałem tylko jego ramiona i głowę. Zaczął krzyczeć do mnie w jakimś obcym języku, nic nie rozumiałem. Potem zaczął się śmiać na całe gardło, wskazując mnie palcem. Z wściekłością cisnąłem weń kubkiem po kawie. Nie trafiłem, ale uciekł. Nim upłynęło pięć minut, przyszła ta młoda kobieta, całkiem atrakcyjna. Podeszła do barierki tarasu i powiedziała: Chcesz mnie bzyknąć? Wiem, że chcesz. Ta twoja nie daje ci tak często, jakbyś sobie życzył. Możemy to zrobić na jej oczach i tego twojego smarkacza. Zaczęła się śmiać tak samo głośno jak ten mężczyzna. Nie miałem czym w nią rzucić, więc poderwałem się od stolika, dopadłem barierki, wyzwąłem ją od najgorszych, nie będę powtarzać tych słów na „k” i „ch”, oplułem jej twarz i przepędziłem.

Na taras wybiegła Paulina. Co się stało? Dlaczego krzyczysz?, była przerażona, znowu przyszli? Zadzwoń po pomoc! Trzeba coś z tym zrobić! Zabiorę cię do lekarza! Odejdź ode mnie, łajdaczko! Nie jestem chory! Nie jestem chory! Zostaw mnie w spokoju!, wykrzychałem z siebie, wpychając ją jednocześnie przez szklane drzwi z powrotem do mieszkania. Zamierzyłem się nawet, by uderzyć ją w twarz. Pamiętała ten ból z poprzednich razów. Wystraszyła się na dobre, o to mi chodziło, i zamknęła się w środku na skobel.

Usiadłem przy stoliku. Byłem cały roztrzęsiony, musiałem się uspokoić, lecz nie dali mi odpocząć. Przychodzili co chwila, wyśmiewali się ze mnie, szydzili, ubliżali, nazywali Małego niedorozwiniętym głupkiem, a mnie imbecylem. Z początku udawało mi się ich przepędzać, ale ci ostatni byli już tak bezczelni i nachalni, że nawet nie bali się, gdy wygrażałem im pięściami. Nie miałem już innego wyjścia! Podbiegłem do szafki i wyjąłem kanister. Obok leżała przygotowana od dawna zapalniczka. Odkręciłem korek, uniosłem zbiornik nad głowę i oblałem się benzyną. W zaciśniętej dłoni trzymałem mocno zapalniczkę. Chciałem się podpalić, spłonąć żywcem na ich oczach! Urządzić im ostatnie w moim życiu przedstawienie, ku ich zabawie i radości! Niech wiedzą kanalie, że to ich wina! Niech do końca swego podłego, przekłętego życia mają mnie na sumieniu! Niech śnią im się po nocach w najgorszych koszmarach! Niech wiedzą, co to koszmar, w jaki koszmar zamienili moje życie!

Na taras wybiegła Paulina. Co robisz? Co ty wyprawiasz? Oszalałeś? Co chcesz zrobić?

Miałem zamknięte powieki, nic nie widziałem, czułem tylko piekący ból w oczach, do których dostała się benzyna. Po chwili poczułem palce na mojej zaciśniętej pięści, próbowała odebrać mi zapalniczkę, lecz byłem silniejszy. Wolną ręką przyciągnąłem ją do siebie i mocno trzymałem. Niech spłonie razem ze mną! Jest taka sama jak oni wszyscy! Podstawili mi ją, zanim zdążyłem się zorientować! Udawała czarującą, kochającą żonę, a naprawdę była z nimi!

Nagle usłyszałem płacz Małego. Musiał stać gdzieś blisko, na tarasie. Muszę go złapać i trzymać razem z nią! Spłoniemy we troje! Nie pozwolę, aby był sierotą na tym podłym świecie!

W tej chwili Paulina zdołała wyrwać się z mojego uchwytu, uciekła. Musiała porwać Małego, bo jego płacz dobiegał teraz z oddali, być może zza zamkniętych drzwi do mieszkania. Od podpalenia dzieliły mnie sekundy. Byłem gotowy, byłem zdecydowany! Tak, teraz! Patrzcie oprawcy i bawcie się moim kosztem!, zakrzyknąłem tak głośno, jak tylko mogłem.

I wtedy usłyszałem jakieś męskie głosy tuż przy mnie. W parę sekund powaliły mnie na podłogę silne ramiona. Ktoś usiadł mi na piersiach, nie mogłem oddychać. Obezwładnili mnie, odebrali zapalniczkę, uratowali mi, panie doktorze, życie.

Paulina wezwała karetkę pogotowia. Przez cały czas oczekiwania ci obcy mężczyźni przygniatali moje ciało do podłogi, krępowali ręce. Sanitariusze przyjechali na sygnale. Wezwali policję, słyszałem, jak jeden rozmawiał przez komórkę. Obmyli mi oczy, zobaczyłem Paulinkę, moją kochaną Paulinkę, jak stała przy drzwiach, trzymając za rączkę Małego. Nie płakał już, miał bardzo zdziwione, szeroko otwarte oczka. Nie zapomnę tych oczu.

Przyjechała policja, dwóch funkcjonariuszy. Zaczęli zadawać mi głupie pytania. Milczałem. Zabrali mój komputer, w którym znajdował się ten list. Odwieźli mnie w kajdankach, karetką do szpitala, na oddział zamknięty P-2. Nafaszerowali jakimiś chemikaliami w

zastrzykach, bardzo bolesnych. Ślina ciekła mi z ust na brodę, aż po szyję i kołnierzyk koszuli. Wiedziałem, że to dalszy ciąg moich prześladowań, eksperymentowali na mnie, na moim ciele, życiu. Powtarzałem uparcie, że nie jestem chory. Błagałem, aby mnie wypuścili, pozwolili wrócić do domu, do ukochanej żony i dziecka. Nie słuchali moich próśb. Byli bezduszni, bezlitośni. To było gorsze niż więzienie, bo skazani odbywają karę za jakieś przestępstwo, a ja byłem przecież niewinny, raz jeszcze pokrzywdzony.

Nadal aplikowali mi chemikalia, dożylnie, domięśniowo. Chodziłem po oddziale jak w letargu, nie docierało do mnie w zasadzie nic z tego, co działo się wokół. Byłem jak zwierzę, jak bezmyślna roślina, którą tylko można podlewać, by nie uschła. Patrzyłem półprzytomnie na tych wszystkich wariatów, którzy dzielili ze mną pokój, oddział. Byli chorzy. Rzucali w siebie krzesłami, koszami na śmieci, krzyczeli na siebie nawzajem. Jeden ciągle powtarzał, że jest multimilionerem i może kupić cały ten cyrk, ten dom wariatów! Inny planował zagładę świata, prosił mnie o pomoc w tym przedsięwzięciu. Nie zgodziłem się, zdawałem sobie sprawę, że to był tylko nieszkodliwy wariat.

Cios przyszedł po paru dniach, a może tygodniach, straciłem rachubę czasu. Do mojego pokoju weszło dwóch policjantów, przynieśli jakieś papiery do podpisania. Podpisałem, nie bardzo wiedząc co. Dopiero wtedy zdołali wytłumaczyć mi, a zrozumiałem to jak najdokładniej, że był to sądowy zakaz zbliżania się do Paulinki i Małego przez okres dwóch lat, pod karą więzienia. Nie wolno mi było nawet do nich telefonować. Straciłem wszystko, co miałem, a miałem tak niewiele. Wypuści mnie pan już, panie doktorze? Chcę wrócić do domu. Kocham Paulinkę i Małego. Nie mam nikogo więcej na tym gorzkim świecie. Bardzo pana proszę.

Na schizofrenię cierpi jeden procent populacji świata. Prawie połowa przypadków nieleczonych kończy się śmiercią samobójczą.